Nro 20.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 13 maja 1848. Rok dziewiąty.

Wychodzi co sobota regularnie. Przedpłata we Lwowie rocznie 10 zr. półrocznie 5 zr. kwartalnie 2 zr. 30 kr. m. k. Bez rycin rocznie 4 zr. półrocznie 2 zr. kwartalnie 1 zr. m. k. Na prowincyi chcący odbierać pocztą dołączają do cen powyższych za przesyłkę pocztową rocznie 1 zr. 36 kr. półrocznie 48 kr. kwartalnie 24 kr. Z prowincyi można nadsyłać pocztą należytość prenumeraty pod adresem redakcyi Nr. 301 we Lwowie, w którymto jedynie razie redakcya ręczy za regularną przesyłkę numerów w opieczętowanych kopertach. W królestwie polskiem i Rosyi prenumerata składa się na pocztach.

Z Wiednia, dnia 3. maja 1848.

„**Do Rady narodowej.** Dnia 2. i 3. maj panował w Wiedniu ruch nadzwyczajny. Opiszę go tu dla wiadomości ludu naszego i dla nauki naszym zatwardziałym w obskurantyzmie urzędnikom, aby pojęli że już minęły te czasy, w których mogli być łajdakami z powagi urzędu i popierać nadużycia swoje, swoje dowolności siłą ślepego wojska i bombardowaniem. Żołnierz w państwie konstytucyjnem powinien być człowiekiem honoru i tylko w państwie konstytucyjnem być nim może; poprzestaje być lokajem pojedyńczej osoby, narzędziem indywidualnych interesów, a staje się wolnym obywatelem narodu, obrońcą jego granic i swobód.

Pierwszych dni maja rozeszła się wiadomość o petycyi, którą jakowiś obłudni pobożnisie podali do dworu, wstawiając się za wygonionemi niedawno Ligurianami. Petycya ta dostała się przypadkowo do akademii i obaczono że był na niej także podpisany arcybiskup tutejszy. Przeto 2go maja wieczorem udał się tłum ludu przed jego pomieszkanie z piszczałkami, świstawkami, dzwonkami i t. p., co wszystko pomieszane z przeraźliwemi krzykami i miauczeniami, nazywa się kocią muzyką. Z okna arcybiskupiego przy placu ś. Szczepana powiewała trójkolorowa chorągiew niemiecka. Więc ozwał się któryś z ludu: „Zrzucić chorągiew! bo nie godzien mieć tego godła człowiek który nie obstaje szczerze za wolnością niemiecką.“— Natychmiast jeden z przytomnych począł się wspinać po murze i obok kocich odgłosów, z prawdziwie kocią zręcznością wydrapał się do okna na pierwsze piątro, oderwał chorągiew i zrzucił; ale napowrót spuścić się nie mógł. Począł więc stukać w okno. Po kilku silnych uderzeniach, dało się w pokoju widzieć światło, i ludzie arcybiskupi otworzyli okno. Zatem zdobywca chorągwi wlazł do pokoju. „*Was befelen Euer Gnaden?*“ zapytali go się najuprzejmiej stojący ze świecami domownicy. „Prowadźcie mnie — odpowiedział — do arcybiskupa, jestem deputowanym ludu i przyszedłem wypalić mu *pater noster.*“ Pokazało się że arcybiskupa w domu nie było. Jeszcze po pierwszej muzyce, jaką mu wyprawiono, odjechał na wieś i nie spieszy się podobno z powrotem.— Więc deputowanego z całą przyzwoitością i uszanowaniem sprowadzono na dół, oświeciwszy mu schody.

Wtedy zaczęła się między ludem rada uliczna. „Zapobiegamy — mówili — pojedyńczym nadużyciom, a tymczasem przełożeni rządu myślą o reakcyi. Dawny system, system łotrowski, system jaki zdawało nam się, że wyświstaliśmy i wygonili z kretesem, trwa ciągle i zaczyna zwolna głowę podnosić. Na miejscu Metternicha jeet Fikielmont, znany od dawna ze swoich zasad i skłonności. Wiadomo że djabeł, kiedy chce oszukać, różne przybiera na siebie postacie i nazwiska. Nam nie chodzi o odmienne nazwisko ale o treść odmienną. Nie dajmy się łudzić pozorami, chodźmy poprosić Fikielmonta, ażeby złożył urząd, który niegodnie piastuje.“ Wniosek był dobry i nie trzeba go było długo popierać. Wszyscy udali się na ulicę pańską przed pomieszkanie pierwszego ministra. Tu odezwał się naprzód głos donośny: „Panie ministrze! Nie posiadasz zaufania narodu, złóż więc zawczasu twój urząd. Póki tego nie uczynisz, będziemy przychodzić do ciebie codziennie, a jak się cierpliwość nasza przebierze, nie dziw, że się możemy stać trochę mniej grzeczni jak dzisiaj.“ Po tej bardzo wyraźnie i głośno powiedzianej przemowie nastąpiła kocia muzyka, i wszyscy rozeszli się spokojniuteńko do domu. Nazywano to: *Eine gemüthliche Demonstration.*

Nazajutrz rano mnóstwo było ludzi na placu śgo Szczepana. Odczytywano z wielką ciekawością nadzwyczajny dodatek do Gazety Austryackiej pod napisem: *Habt acht! Die Ligurianer sind wieder da! Guten Abend!* Po południu schwytali akademicy policyjnego szpiega, przy którym znaleźli dowody jego rzemiosła i ślady pensyjki, jaką pobierał. W Paryżu gdzie lud jest gwałtowny i sangwiniczny, pociągnionoby go zapewne na latarnię; jakoż bogiem a prawdą zasłużył na to. W Wiedniu jednak stało się inaczej. Powieszono mu na piersiach wielką tablicę z napisem: Szpieg policyjny, i z takim orderem wystawiono go przez godzinę na balkonie akademickim. Potem wsadzono go na nosze i obniesiono w asystencyi gwar-

dyi narodowej po główniejszych miasta ulicach. Działo się to między czwartą a szóstą.

O szóstej, wysłannicy akademii Lwowskiej przyjmowani byli przez młodzież tutejszą z wielkiem współczuciem i okrzykami. Opowiadali oni gwałt, jaki Stadion popełnił w sali Rady narodowej. Trudno było uwierzyć tutejszym mieszkańcom aby człowiek, którego miano dotychczas za rozumnego, mógł nadużyć powierzonej mu siły zbrojnej i władzy urzędowej do prostego rabunku. Na miejsce Fikielmonta obiecywano tu zwykle Stadiona; ale dowiedziawszy się o tej jego dyplomatycznej wycieczce nocnej, zaczęto utyskiwać nad brakiem uczciwych ludzi w Austryi. „O! biedne państwo!“ napisano w dzienniku „*Der Freimutige*“— „gdzie takich proponują ministrów!“ — Lecz powracajmy do rzeczy. Około godziny 9tej zgromadziło się koło pomieszkania Fikielmonta już nie kilka ale kilkanaście tysięcy ludzi, całkiem według obietnicy wczorajszej. Znowu odezwał się mowca głosem donośnym: „Pierwszy ministrze! Jesteś nie na swojem miejscu. Zdradzasz naród i monarchę, myślisz o reakcyi. Ale ochota taka jest dziś zbrodnią stanu, można przepłacić na szubienicy. Przeto radzimy po przyjacielsku, wynoś się póki pora. Nie chcemy broczyć krwią pierwszej karty wolności naszej, ale każdy zamach na nią, zkądkolwiekby wyszedł, zemścimy bez miłosierdzia.“ Potem zaczęto zwykłą muzykę, która trwała przeszło godzinę i rozlegała się po najodleglejszych ulicach. Nareszcie uradzono posłać na górę deputacyę, ale brama była zatarasowana, a ludzie ministra przysięgali z okna, że pana ich niema w domu. Zaczęto więc dobierać się do bramy i chciano ją wywalić, aby się przekonać, czy też ludzie ministerialni nie nauczyli się kłamać po ministerialnemu. Mimo tego wszystkiego, czy uwierzycie ziomkowie! nie bombardowano miasta jak w Krakowie. Mieliżby jenerałowie tutejsi większymi tchurzami być jak Castiglone, lub miałżeby Castiglone postąpić sobie niegodziwie, przeciw duchowi rządu teraźniejszego, przeciw woli monarszej? Wszak wszystko co opowiadano, działo się obok rezydencyi cesarskiej, a przecież nie bombardowano Wiednia. — Zapytacie może co robiła gwardya narodowa? Swoją powinność. Utrzymywała porządek, ujmowała się za swobodami ludu, za konstytucyą, przewodniczyła tłumom.

O jedenastej wszyscy się rozeszli, obiecując powrócić nazajutrz, ale nazajutrz podobno nie będzie już pierwszego ministra.*) Zważcież biurokraci galicyjscy i ty przełożony ich, gubernatorze Stadionie! czy jest rozumnie, czy jest bezpiecznie myśleć teraz o reakcyi? Wszakże lud wiedeński wspomniał przy tej sposobności o czemsiś bardzo niesmacznem, a ja w chrześcijańskiej miłości przestrzegam.

Zdaje się że na petycyę deputowanych galicyjskich w tych dniach nastąpi odpowiedź. Skreśliliśmy stan kraju naszego tutejszemu komitetowi gwardyi narodowej, i zyskamy niewątpliwie silne poparcie naszych żądań. Kiedy mimo doświadczanych nieraz przeciwieństw wytrwaliśmy statecznie w pracach naszych i powrócimy do kraju, jeżeli nie z pomyślnemi wiadomościami to z tą zaiste pociechą, że spełnialiśmy nasz obowiązek; to z drugiej strony napełniło serca nasze radością to doniesienie, że bracia nasi we Lwowie nie dali się uwikłać w zastawione na nich sidła, nie splamili się niezgodą, na jaką się podobno z razu zanosiło. Protestacya przeciwko sejmu, połączenie się powołanych do rządowego sejmu z Radą narodową, są to kroki energiczne, godne prawych Polaków, godne ludzi wolnych; i z chlubą wspominać je będzie historya. Widząc takie przykłady nie powątpiewam w przyszłość naszą. Siedmdziesiąt lat systematycznego psucia i upodlania nie wielkie przyniosły owoce, kiedy w chwili stanowczej taka objawiła się jedność, takie pojęcie ważnego swego położenia, swoich obywatelskich obowiązków, takie uczucie czci i godności. Wytrwajcie szanowni ziomkowie, na drodze, którąście obrali, a dowiedziecie światu całemu, że nie tylko cierpieniami, jakie znosiliście i jeszcze znosić będziecie, ale i jasnością wiedzy, prawością charakterów i zacnością serc godni jesteście tej z upragnieniem oczekiwanej wolnej ojczyzny.

Leszek Dunin Borkowski.“

*) Jak wiadomo, sprawdziło się to dosłownie.

Wspomnienie rynku krakowskiego.

Stary rynek Krakowa — serce naszego grodu — jest niemym świadkiem tylu głośnych czynów przodków naszych! Wskrześmy w pamięci te wielkie chwile zdarzeń, co zaszły na jego bruku; rozbudźmy echo powitalnych okrzyków ojców naszych, gdy wśród tych starych murów odbierali cześć swych ziomków, przesnujmy w myśli nić tych scen co się na nim odbyły, rozbudźmy uroczystą muzykę dzwonów, co wtórowały staremu Zygmuntowi z wawelskiej skały, gdy pieniem radosci witał przodków dziękczyniących za zwycięztwo lub jęczał głosem boleści, gdy oddawano cześć pogrobową dzielnym królom i hetmanom naszym! Będziemy wtedy widzieli, że rynek Krakowa jest jakby wielką księgą, kroniką, w której czynem zapisały się wszystkie wielkie dzieła Polaków — jest dla nas świętą pamiątką i upominkiem z przeszłości. Niezawsze jednak pogodne niebo jaśniało nad grodem naszym. Bóg często odwracał swe oblicze; a burza, ciężarna strzałami i pożogą Tatarów, Turków, Szwedów i innej dziczy, wisiała nad głowami przodków. Wtedy łuna pożarów przyświecała ojcom naszym, co na tym rynku, z odwagą w sercu i mieczem w dłoni, bronili swej i sąsiadów wolności. Lecz nacoż w odległych wiekach szukać zatrważających scen, na które te stare mury patrzały? Wspomnijmy rok 1846, walkę 20. lutego, gdy świątyńka ś. Wojciecha napełniła się uwięzionemi męczennikami sprawy naszej.

Wspomnijcie tę ciszę i trwogę, gdy żołdactwo posłuszne haniebnym rozkazom, po ulicach i rynku przelewało niewinną krew braci naszych. Ileżto scen z tych bliskich nas czasów budzi się w pamięci naszej! Pomnijcie tę uroczystą chwilę, gdy po odwrocie cesarskich wojsk, stary Zygmut, przy rozgłośnym hurra! ozwał się do nas z Wawelu — dźwiękiem co od wieków do Boga unosił dusze Polaków! A gdy od tej chwili minęło ośm dni ułudy — znów ujrzeliśmy się pod srogiem jarzmem. Nawałem cisnąca się w miasto nasze horda Czerkiesów i Kozaków sprawdziła przepowiednię Wernyhory, i u stop wieżycy kościoła Maryi rozłożyła swe koczowisko. Znów kirem smutku pokrył

się rynek i ulice starego grodu. Grobową ciszę zakłócał ledwie pobrzęk więziennych kajdan..... A przed niedawną chwilą, ten sam rynek był świadkiem braterstwa naszego z wrogami. Na nim z sercem przepełnionem rozkoszą, jakiej pierwszy dopiero raz w życiu doznajem, ze łzą radości w oku, witaliśmy więźniów i wychodźców naszych. Tu nie jeden z nich, co przez 17 lat nie widział świętych murów rodzinnego grodu, nie stąpał po rodzinnej ziemi, nie oddechał ojczystem powietrzem — gdy mu nikt nię pozostał z rodziny, aby go uścisnąć — witał na tym rynku ojczyznę i rodaków — dziękczynił bogu, że mu przed skonem, dozwolił ujrzeć ziemię przesiąkłą krwią, a zasianą kośćmi przodków swoich. Ten sam wreszcie rynek był widownią haniebnych morderstw, jakich się dopuściło cesarskie wojsko d. 26. kwietnia, na prawie bezbronnej gwardyi. Popioły dobrych królów naszych zadrgnęły w Wawelu, gdy huk dział, ogłaszał miastu zagładę. Po tym samym rynku przeciągał też uroczysty pogrzebowy obchód, poległych w tym dniu ofiar, w tym dniu zapisanym krwią niewinną w kronikach naszych. Milczenie zalegało cały rynek napełniony niezliczonemi tłumami ludu — a gdy 18 trumien, osutych wieńcami, kobiety, najznamienitsi obywatele, chłopi, Żydzi i młodzież, wynosili na barkach z starodawnej świątyni Maryi — wśród starego rynku rozległ się jęk żalu, jęk co doszedł do sprawiedliwego boga, co może niejednego mordercy serce do skruchy wzbudził. Niech też na tym samym rynku, gdzie polegli bracia ostatnim tchem żegnali ojczyznę i rodaków, niech na tym samym rynku stanie pomnik ich pamięci. Będzie on nie tylko znakiem czci religijnej, oddanej poległym ofiarom, ale i pamiątką okropności, jakie nam przyniósł despotyzm 19. stólecia.

Któż zgadnąć może, czy jeszcze nie uderzy piorun w miasto nasze? — O wtedy ten sam rynek, co tyle wspomnień rozbudza nam w duszy, będzie polem walki o wolność — a ta walka nie zawstydzi nas przed cieniami przodków.

W Krakowie d. 2. maja 1848 r.

Jozef Łepkowski.

Pieśń zpod Bieszczadu.

Drogi kraju! gdzie z równiny
Sine pasmo widzę chmur,
Gdzie nad grzbietem połoniny
Orzeł buja pośród chmur;
Mimo wrogów zdradnej siły
Nie rozpaczaj kraju miły!

Kędy Wisła się rozlała
Ta królowa polskich rzek,
Kędy płynie San i Biała
A Dniestr swój poczyna bieg:
Kędy synów twych mogiły,
Stój niezłomnie kraju miły!.....

Od Halicza stromej skały
Aż do Tatrów dumnych garb,
Gdzie nasz dzielny orzeł biały
Nieprzebrany zasiadł skarb:
Mimo klęski i mogiły
Wytrwaj, wytrwaj kraju miły!....

Gdzie zielone pól rozłogi
Tu zrodzony orze wół,
Kędy zboża pełne stogi,
A pasieki pełne pszczół,
Gdzie żelazne krążą żyły,
Nie rozpaczaj kraju miły!

Zpoza Tatrów burza wieje,
Nas niedobry tłoczy wróg;
Drogi kraju żyw nadzieję,
Bo za Polskę walczy bóg....
Po za tarczą jego siły
Stój potężnie kraju miły!

On wywiedzie cię z otchłani
Mimo tyla srogich burz,
I łódź nasza do przystani
Niezadługo wpłynie już.....
Kędy synów twych mogiły,
Wytrwaj, wytrwaj kraju miły!

O! wyrośniesz silny dębie
Śród rodzinnych Tatrów skał
Na tym krwią zwilżonym zrębie
Długie wieki będziesz stał.....
Pełen prawdy, wiary, siły
Zmartwychwstaniesz kraju miły!.....

Pisałem w Dubiecku 1845 roku.

Aleksander Krasicki.

Zagadka.

Dyalog podsłuchany przez A. G.

(Ciąg dalszy.)

„Co tu ogrodów! wiosek! i dworów! a może“ — zwróciła się do mnie — „i dom pana widać z mogiły Kościuszki?“

Odpowiedziałem że wzgórze go zasłania i ogród.

„Pan kochasz się w ogrodach?“ — zapytała się znowu,

Przyznałem się, że jestem miłośnikiem ogrodów, ale mój zostaje jeszcze w projekcie.

„Położenie pewnie jest po temu“ — mówiła dalej — „bo tu ziemia taka malownicza, ale panowie gustujecie w koniach, maszynach, cukrowniach, wolicie depansować na stadniny, polowania, i wojaże. Ogrody nam zostawiacie; u nas, na wsi jest także ogrod angielski; należy on niby do mnie; bo moja mama zajmuje się tylko kwiatami; sprowadza wiele z zagranicy, utrzymuje nawet, że nasza oranżerya należy do pierwszych w królestwie.“

W ciągu tej mowy byłem troche zaambarasowany, mógłbym był zapewnić pannę Helenę, iż zostaje w błędzie, narzucając mi takie pańskie gusta ale tą suppozycyą wielkiego majątku byłem nieco obrażony i chociaż była piękną zawsze, a w tej chwili czarującą; myślałem jednak nad sposobem odwetowania jej tego nawzajem.

Na to samochwalcze wspomnienie o naszej oranżeryi podałem: że i w Krakowie jest ogród botaniczny i szklarnia; może nie tak bogata i sławna jak

oranżerya, matki panny Heleny, ale zawsze godna widzenia.

Z radością powzięła tę wiadomuść i ułożony został projekt na jutro jechania na Wesołe; a jam się radował tem, że widok krakowskiego ogrodu i oranżeryi upokorzy nieco dumkę ładnej panny Heleny.

Nadszedł czas do powrotu, panna Helena żywa i wesoła (jaką niewidziałem dotąd) sama podała mi rękę, i tak figlarnym uśmiechem na ustach wezwała mnie do prędszego zbiegnięcia z góry, że w tej chwili zapomniałem o gniewie i zemście; nią zajęty, w nią wpatrzony zapomniałem że biegnę po wązkiej krawędzi wzgórza wyniesionego na sto stóp od ziemi, że przepaść jest przedemną; jeden nieostrożny krok — usuwa się ziemia pod moją nogą — równowagę tracić zaczynam.

„Pan upadniesz," — krzyknęła z przestrachu Helena, — i instyktowo biegnie mi w pomoc, podaje mi drugą rękę; pochwyciły się nasze dłonie, i bez naszej wiedzy ścisnęły nawzajem.

Wypadało mnie podziękować, pocałowałem rączkę...

„Uratowałam panu życie!" — rzekła śmiejąco. —

„Więc życie moje do pani należy;" i poraz wtóry chciałem podziękować...... Ładny paluszek pogroził mi i wskazał na matkę, która patrzała na nas z dołu.

Ale ja może nudzę ciebie mój Henryku; opowiadam tak rozwlekle, zagadał Zdzisław i zapewnił że będzie się starał być prędszym w opowieści.

„Wróciliśmy do domu. Nazajutrz wiozłem moje panie do botanicznego ogrodu. W drodze zapytała mnie pani Litnoska, czy niewiem, który tu najlepszy krawiec damski? Krawiec był potrzebny, dla porobienia sukień z zakupionych materyi, zdawało jej się, że trudno będzie tuzinem sztuczek opasać się dla bezpiecznego ich transportu przez granicę.

Byłem w kłopocie, mam wprawdzie znajomość z panami Baranowskim i Bałwańskim, ale z damskim krawcem nie spotkałem się jeszcze na drodze mego życia. Przyszła mi na myśl pani Zasietkoska. Jest to szacowna kochana kuzyna moja i wielu jeszcze innych osób; jak zły szeląg zna Kraków; chociaż malenka, szczupła i żółta i sucha, jest niezmordowanej siły, gdy otrzyma jaki komis, obstalunek do panny Krzywieckiej, Timowej, do Modesta albo na Kazimierz. W usłużności drugim jest to chodząca grzeczność. Jest moją kuzyną (pochodziemy od jednej zimnej babki) wszelako muszę jej oddać słuszność i przyznać, że w swojej naturze ma ten szlachetny gust zajmowania się cudzemi interesami, może dla tego, że własnych niema.

Ledwie com wspomniał o mojej kuzynce, p. Litnoska pragnęła poznać się z nią, już to dla zaciągnienia rady w wyborze krawca, już to dla kilku innych jeszcze sprawunków. Tym czasem zajeżdżaliśmy przed bramę botanicznego ogrodu, pani Litnoska wstąpiwszy do oranżeryi znalazła się w swoim żywiole.

Z prawdziwą rozkoszą i zajęciem, robiła przegląd kwiatów piramidalnie się wznoszących aż pod sufit szklannego gmachu; cieszyła się, admirowała. Jaki to śliczny kaktus! rododendron jak rzadko! takiego exemplarza nieposiada nawet książę; ale dosyć często, dało się także słyszeć: tego ja nie mam, tego nieznam, o tem jeszcze nie słyszałam. Panna Helena większa amatorka drzew niż kwiatów, znudzona długą procesyą od wazonika do wazonika, oznajmiła matce że przejdzie się trochę po ogrodzie z panem Strawińskim, to jest zemną.

„Jak chcesz moja duszko" — odrzekła matka — „ja bo tu zostanę; to jest moja pasya! ach, jaki pyszny exemplarz magnolii!! „I pani Litnoska kontynuowała swoje wąchanie, admirowanie kwiatów; a my tymczasem..."

„Romansowaliście po ogrodzie" — poddał słuchający Henryk.—

„Chodziliśmy po ogrodzie" — kontynował Zdzisław, — „obeszliśmy prawie cały. Przyszedłszy do miejsca, gdzie droga nieco w górę się podnosi, podałem rękę pannie Helenie, i odtąd prowadziłem ją już ciągle. Znasz ogród botaniczny krakowski? więc przyznaj......!"

„Przyznaję — odrzekł Henryk — jest nader bogaty w zagraniczne drzewa, w rzadkie exotyczne krzewy!

„Chodziłeś zapewnie po ogrodzie w towarzystwie jakiego profesora botaniki, ale na miejscu tego profesora gdybyś miał tak blisko siebie osobę, do której czujesz tajemny pociąg duszy, której samo dotknięcie ręki już przyspiesza uderzenie serca; o, natenczas przyznałbyś może, że ogród nasz pełen rozmaitości drzew i kwiatów, cały w jakimś miłym półcieniu, co się rzuca na ciche ścieszki, samotnicze kanapki....."

„Romansowo malujesz kanapki" — zauważał trochę zniecierpliwiony słuchacz. —

„Chciałem ci odmalować moje własne uczucia" — mówił Zdzisław — „chciałem powiedzieć, że ogród botaniczny Krakowski zdaje się być założonym pod godłem wyższego natchnienia, bo wywiera na serce jakiś wpływ magiczny. W tym ogrodzie puls życia bije prędzej; czy byłem w stanie jakiejś exaltacyi, niewiem, ale mowa szła mi tak płynnie, nigdy w życiu nie byłem tak rozmownym, tyle grzecznym."

„A panna Helena?" — zapytał słuchający. —

„ Nad moje spodziewanie ogród nie zrobił na nią wielkiego wrażenia? Chwaliła dosyć zimno, nie zadziwiła się niczem, jeden tylko widok na mogiłę Krakusa zajął ją na chwilę; zrobiła uwagę, że spodziewała się parku na większą skalę. Widząc mię zamiłowanym w tym ogrodzie, a nawet trochę nienaturalnie wesołym, zagadała do mnie, nie patrząc na mnie, w te słowa:

„Ten ogród wprowadza pana w bardzo wesoły humor; może jaka miła pamiątka dla pana, przywiązana do tego miejsca?"

Pochwyciłem to zapytanie i odpowiedziałem słodko:

„Ten ogród będzie dla mnie najmilszą pamiatką."

„Tak, czy wolno się zapytać po kim?"

„Po pewnej osobie" — odrzekłem. —

„Musiała być zapewnie piękną?" zapytała się dosyć zimno.—

„Jest piękna jak anioł." To mówiąc spojrzałem na nią.

Roześmiała się spuszczając oczy, i przemówiła do mnie dosyć nieśmiało:

„Może mi pan opisze, tę pewną osobę? jakie ma, naprzykład, usta?

„Usta prześliczne! czoło! oczy! niema słów ażebym je opisał."

Po chwili zapytała mnie, czy długo kochałem tę osobę."

„Gdyby mnie było wolno, kochałbym ją do śmierci."

„A ja, możebym nie wierzyła temu."

„Pani?"

„Mówię to tak, tylko instyktowo."

„Pani! ja zaręczyć mogę słowem....."

„Słyszałam" — przerwała mi, — „panowie macie tyle myśli i interesów na głowie, jesteście tak rozerwani, gdyby który z was myślał ciągle o jednem, i jednem się zajmował, wy sami nazwalibyście go może dziwacznym. Ale ja nie wątpię że są lepsi, może i pan...."

„Niech pani zawierzy temu" — odezwałem się — „że i najgorszy pod wpływem łaski i szczęścia staje się dobrym, gdyby to pani przyszło na myśl kiedy, że i w twojej mocy jest...."

„Proszę pana" — przemówiła zaambarasowana — „ja pana znam tak mało, tak krótko; ale zdaje mi się, widziałam już wszystko, co jest do widzenia, mama moja będzie czekać na mnie."

„Już tak prędko? ten ogród nie miał szczęścia podobania się pani."

„Co? mnie?"—pochwyciła szybko—„to nie powiem; ten ogród dosyć mnie się podoba ale..."

„Nieprzerywam pani."

„Ale" — dodała uśmiechając się — „ uważam że drzewa w tym ogrodzie, — może to dla tego, że są sprowadzone z zagranicy, — wywierają na pana jakiś dziwny wpływ; czarują; byłoby może niebezpiecznie dla pana bawić tu dłużej-"

„O! pani dozwól tym drzewom niech czarują; dla pani nie są niebezpieczne."

„O nie! ja się nie lękam akacyi, ani brzozy, i dla tego przejdę się jeszcze po tamtej stronie, zkąd widać mogiłę Krakusa, ale położę warunek. Pan mi przyrzecze, że o tej pewnej osobie, nie będzie już mowy."

„Mowa zastosuje się do rozkazu; ale myśl nie posłucha."

„Można zgrzeszyć nieposłuszeństwem" — zagadała dowcipnie. —

„Są grzechy z których niechciałbym się spowiadać."

„To pan nie nabożny, jak wielu panów."

„Lękałbym się rozgrzeszenia, poprawa byłaby niepodobna."

„Posuńmy się dalej; bo jak widzę, ta akacya znowu czaruje" — to mówiąc uśmiechała się tak lubo!" —

„Akacya" — pochwyciłem za to słowo — „cóż jest drzewo? ogród? cóż jest cała natura? to rzeczy martwe, to ciało bez duszy, człowiek tylko może je natchnąć życiem, nadać tym rzeczom wartość, może je zrobić towarzyszami swoich uczuć. Drzewo czaruje, mówię pani, w i e r z ę, może mnie wczarować w stan błogi; bo widok tego drzewa, tej akacyi, o którą potrąciłem mojem spojrzeniem w chwili jednej szczęśliwej, widok tego drzewa rozwiąże moją myśl, trąci o uczucie; które w każdem swojem przebudzeniu się, raduje się, zachwyca się snem swoim, chociaż on przeminął, tak jak mija każdy sen."

Panna Helena słuchała mnie z coraz większą uwagą. Zasłuchana w ciągu mojej trochę długiej mowy niedostrzegła nawet kiedy usiadła na ławeczce pod drzewem; niezważała że i ja, przy jej boku już siedziałem."

„Cóż jest ogród" — mówiłem w coraz wyższem uniesieniu i zapale. — „Coż jest ziemia," świat cały, gdyby w nim nie było człowieka, jego myśli i uczuć. Świat pomyślany bez ludzi, jest to dom niezamieszkany — pusty, smutny, straszny nawet; dom dla pająków; odwieczne lasy Ameryki z tą bujną ich wegetacyą, z tym extraktem roślinności ziemskiej, to pustynie dla wężów. Pójdę jeszcze dalej, powiem, że ta łąka co kwitnie, drzewo co się zieleni, kaskada co szumi, ten firmament rozpięty nad nami, gwiazdy nocne, meteory, słonie, to wszystko jest martwe, ciche, bez barwy i blasku, to są sprychy tego koła natury, które rządzeniem boskim, toczy się po przepisanej sobie kolei; w naszej zrenicy dopiero odbite, zmysłami poczute, myślą objęte, rozumem naszym rozpoznane, dostają swoje kolory, zapachy, dźwięki i blaski, i tak żyją w połączeniu z życiem człowieka, jak były umarłe, przed jego pierwszem narodzeniem się w Edenie. Ta chmura co przebiega ponad lasem, maż ona świadomość jakiego kształtu są drzewa? jakiego koloru? jakiej woni? a nawzajem to drzewo, pnące się ku niebu, czy wie jak śliczna jest ta niebieskość tego sklepienia, po którem haftują się najrozmaitsze wzory chmur i obłoków!

Strumień rozbryzgujący się po skałach w brylanty wodne, majestatyczna jodła, różno-kształtne góry, cała ta wielka ziemia stworzona jest dla człowieka, bo jemu tylko, dane są te zmysły i władze, któremi je dojrzeć, objąć, zrozumieć i poczuć może; dla człowieka, którego bóg obdarzył taką niepojętą siłą, rzutu spojrzenia, że tym rzutem dosięga nawet gwiazd, tych kwiatów *nolli me tangere,* rzuconych w samo dno nieskończonności."

„Ho! ho!" — zawołał słuchający Henryk — „zarwałeś coś i z astronomii; cóż panna Helena na twoją górną rozprawę? czy zrozumiała ciebie? bo ja niebardzo."

„Uważam" — kontynuował Zdzisław — „że od tej chwili, w jej zachowaniu się zemną, nastąpiła pewna zmiana. Niepowiem, ażeby grzeczniejszą była, ale stała się jakoś słodszą; w rozmowie mniej smiałą; mniej dowcipną; wpadała niekiedy w jakieś zamyślenie. Wstając z ławki, obejrzała się do koła okiem niespokojnym. Zaczęła coś mówić, niedokończyła, w końcu zapytała mnie — „czy dozwolę, ażebyśmy wrócili, do mamy," — „lękam się" — dodała — „może za długo bawiłam się z panem."

Gdy to mówiła, jej oko spoczęło na mnie spojrzeniem tak łagodnym a nawet osmuconym, że skłonność, budzące się uczucie, ustąpiło litości, która jest wrodzoną nam w sercu. Więcej nią niż sobą zajęty, zapomniałem całkiem o sobie, i chociaż czułem to, że ona zaczyna się poddawać natchnieniom mojego słowa, to wszelako nie korzystałem z tej chwili, nie korzystałem z tej władzy nad nią, jaką dawała mnie ta chwila, i byłem usposobiony rozwiązać własną ręką tę sieć, w którą mogłem uwikłać jej młode myśli.

I chociaż w tem dziwnem postanowieniu mojem było uczucie rezygnacyi; ja przecież w niem dotrwałem. Idąc obok Heleny, nie podałem jej ręki choć byłem pewny, że ta grzeczność byłaby przyjęta; nie mówiłem chociażby mnie rado słuchano. Szliśmy w milczeniu. Przerwała je Helena zapytaniem o moich rodzicach, o rodzeństwie? zaczynała mowę o ogrodach, o pożyciu mieszkańców Krakowa; doszliśmy do oranżeryi, i niektóre z jej zapytań zostały bez odpowiedzi. Pani Litnoska wychodziła ze szklarni, dwoch o-

grodniczków niosło za nią zakupione wazoniki z kwiatami.

„Widzisz Helenciu! co ja tu nakupiłam“ — zagadała radująca się nabyciem nowo odkrytych pelargonii, astrów i innych roślinek. —

„Ale mamo, jakże my to zawieziemy do domu“ zapytała Helena.

„Nie turbuj się o to“ — rzekła matka — „znajdzie się miejsce, a resztę służąca trzymać będzie na kolanach.“ Uważałem że ta odpowiedź matki zaambarasowała Helenę.

W drodze do domu była mowa o ogrodach, podałem myśl odwiedzenia pięknego parku na Woli; przyjęto mój projekt, i wybrano do tego spaceru godzinę poobiednią nazajutrz.

Wieczor był, gdyśmy wrócili do oberzy. Pani Litnoska szła przed nami, Helena się zatrzymała; w tej krotkiej chwili — kilka słów było wymówionych, które mogły mnie zapewnić o mojem szczęściu; żegnając przycisnąłem do ust podaną mi rękę, a słowo „do zobaczenia“ obiło się słodko o moje serce.

„Jak uważam“ — wpadł w słowo Henryk — „miałbyś przyzwoity talent do pisania powieści.“

„Dziwi cię to: że się wyrażam tak powieściowo“ — odrzekł zagadnięty — „mówiąc o tych czasach, pochwyciłem pamięcią cząstkę z tego szczęścia, tej słodyczy, jaką doznałem w onym dniu. Ale dziękuję ci, że mnie reflektujesz, będę się starał być prostym opowiadaczem. I kontynuję dalej: Nazajutrz z rana udałem się do mojej kuzynki; na gołębią ulicę. Pomieszkanie pani Zasietkoskiej, ubrane w białe firanki, co się pierały raz do roku, miało swoją kanapę, stolik mahoniowy i stołki pod perkalowem okryciem, trochę skromne.

Całe bogactwo i cały blask koncentrował się w jednym punkcie gdzie stała serwantka, skarbiec filiżanek, lichtarzy, miseczek i szklanek, porcelanowych i woskowych figurek; skarbiec co się zapełniał pamiątkami z Karlsbadu i innych kąpieli, i zbogacał się corocznie nowym jakim gracikiem wygranym na fantowej loteryi.

Gdym wstąpił do pokoju, uderzył mnie zapach cekoryi, zmieszany z innemi zapachami. Pani Zasietkowska w nocnym czepku — był biały jak jej firanki, — w szlafroku i w chustce — przed laty 20 chustkę taką nazywano bagdacką — siedziała przy stoliczku, przed tacą, na której był inbryczek, garnuszek, dwa lakierowane sucharki, i blaszana cukiernica z kluczykiem. Właśnie nalewała mleko na spodek od filiżanki, a przed nią stał mops staruszek już zgrzybiały z zadartym noskiem, i pokurczoną grubą szyją.

Porwał się do mnie, ledwie raz zaszczeknął, zachrypł, zacharczał i dał sobie pokój.

„Święte rzeczy! Pan Zdzisław“ — wykrzykła piskliwym głosikiem pani Zasietkoska — „Co się stało panu Zdzisławowi; zabłądził przecie raz na gołębią. Święte rzeczy! dam ci zaraz Amorciu“ — odezwasię do pieska. — Chciałem przemowić, przerwano mi.

„Ani zajrzy, już pół roku, kuzynek coś nie łaskaw, zhardział; nie poznaje już ludzi na ulicy! święte rzeczy! Naści Amorciu“ — i postawiła miseczkę z mlekiem na podłodze.

„Kochana kuzyno.....“

„Tak tak, to bardzo się godzi, niepamiętać, zapominać, niepoznawać — jedzże Amorciu.“

Tłumaczenie, exkuzy nie wiele pomogły; słuchałem więc przymówek; wiedząc do mojej kuzynki, że u niej nastaje pogoda, ale dopiero po burzy.

„Ale, cóż to są za damy, którym kuzynek tak assystuje, nadskakuje, od ośmiu już dni, to pod różę to po kościołach, po sklepach, do botanicznego ogrodu, święte rzeczy! zawieziesz jeszcze i na Wolę? A co? czy niewiem co się dzieje w Krakowie“?

Osłupiałem z zadziwienia na tak dokładną wiadomość o moich sprawach, alem zapomniał o tem, że pod Krakowem ciągną się jakieś skryte, podziemne korytarze i krużganki, co mając swoją komunikacyę z każdym domem, albo raczej z każdego domu garderobą; przez nie dochodzi i rozchodzi się każde nawet tajemne słowo, wymówione w salonie.

„No cóż, albo nie powiesz mi kuzynku, może to tajemnica jaka? Cóż to za panie? z kąd przybyły? dokąd jadą? co tu robią? długo zabawią? dużo już zostawiły pieniędzy po sklepach, czekajże Amorciu.“

„Od tych pań właśnie przychodzę“ — rzekłem — od nich jestem przysłany do kochanej kuzyny z prozbą.“

„Co? co ty gadasz? Te panie co tak wiele kupują po sklepach, te panie takie bogate do mnie z prozbą? może się myli kuzynek, ja nie mam wprawdzie honoru, ale nie ma nic do tego; powiedz — dodała z tą pretensyonalną wielkomiastową afektacyą — „powiedz kuzynku, oświadcz tym paniom że w każdym razie, najchętniej, będzie moim obowiązkiem....“

Powiedziałem o co rzecz idzie, a odebrawszy aż nadto pewne zapewnienie, że moja kuzyna najpoźniej za godzinę sama będzie służyć pani Litnoskiej, pocałowałem w podartą trochę rękawiczkę mojej kuzyny i wyszedłem. W punkt o drugiej godzinie z południa zajechała dorożka przed oberzę; fiaker był zamówiony na całe poobiedzie, na przejazdkę do Woli.

Wchodzę do pokoju. Pani Litnoska wita mnie jak zwykle; postrzegłszy nową szpilkę u mnie, admiruje, pyta gdzie kupiłem, co kosztuje? i robi projekt kupienia sobie podobnej, oznajmia przytem, że kuzyna moja była tyle łaskawą, tak grzeczna, że materye oddane już krawcowi. Dowiaduję się także, że moja kuzyna wychwalała mnie bardzo przed damami; że jest moją prawdziwie przychylną kuzyną.

Pół uchem słuchając, szukałem oczyma panny Heleny, nie było jej w pokoju. Chciałem się zapytać, uprzedziła mnie matka.

„Helenciu“ — zawołała — „pan Strawiński przyszedł.“ Po chwili dosyć długiej wyszła z drugiego pokoju panna Helena, skłoniła mi się, ale dosyć zimno; usiadła przy oknie i zaczęła wyglądać na ulicę, nie łącząc się do rozmowy, którą prowadziłem z matką. — Byłem w położeniu trudnem do opisania; już odgadłem, że mnie czeka jakaś smutna zmiana, a chociaż nie miałem punktu do oparcia mojego domysłu, musiałem wierzyć temu, com widział tak jasno. Zbliżyłem się do Heleny, na widok zimnej obojętności na tej twarzy, słowa konały mi w ustach, a serce wczoraj tak pełne zaufania, dzisiaj nie ośmielane jej dobrocią, straciło swoją odwagę. — Upokorzony i smutny czekałem cierpliwie sposobniejszej chwili do wybadania Heleny, czy mi wolno jeszcze kochać ją bo czułem, że teraz ona jest panią moją.“

Dumanie moje przerwane zostało. Pani Litnoska przypomniawszy sobie, że dorożka czeka, napomniała Helenę że czas jechać na Wolę.

„Mama pojedzie“ — odrzekła panna Helena — „ja zostanę w domu, głowa mię boli.“

Na posłyszane te słowa zimno wskróś mnie przybiegło, moje marzenia rozbite leżały w rozkruszynach.

„Głowa cię boli? duszko? a nic mi nie mówiłaś o tem? może posłać ci po doktora? Cóż duszko, pozwolisz?“ — pytała się matka pieszczotliwie. —

„Biedna matko“ — pomyślałem — „dręczysz swoją córkę, nie rozumiesz jej.“

Helena, chociaż tak młoda, miała wiele przewagi nad matką. Jej perswazyą uspokojona pani Litnoska podała mi rękę, musiałem jej towarzyszyć do dorożki, zająć obok niej miejsce w pojeździe, jechać z nią do ogrodu, na Wolą. Jakże trudną była rola, którą odegrałem tego poobiedzia.

(Dokończenie nastąpi.)

Strach ruski.

Dwoma głównie strachami straszyli nas i straszą jeszcze po części wrogi nasze, strachem chłopskim i strachem ruskim. Oba te strachy wyszły właściwie z jednego źródła, są jednej wrogiej przyczyny skutkiem. Tą jedyną przyczyną była niedostateczność dawnej formy rządowej w Polsce, przewaga jednego stanu, szlachty. Jak w Polsce, tak też we wszystkich oświeconych krajach europejskich wiodła niegdyś rej sama szlachta; lecz z powodów, jakich zbywało w Polsce, rozwinął się tam potężnie stan miejski, który w przeciwieństwo szlachcie powszechnie ludem mniemano i nazywano, aczkolwiek właściwy lud wiejski rzeczywiście srozższego w tym stanie miał przeciwnika, niż w samej szlachcie. Jak w innych krajach europejskich, tak też i w Polsce rozplenilo się obficie różnowierstwo, lecz wrodzona słowianskiemu plemieniu skłonność do zaciekania się w ostateczności sprawiła, że jeźli gdzieindziej sekty różnowiercze po długoletniej walce poniekąd się ostały, w Polsce nie tylko te sekty zupełnie z życia i sumienia narodu wygluzowano, ale nawet to, co nie odszczepieńczą sektą, lecz tylko odmiennym było obrządkiem, koniecznie do jedności kościelnej przywieść silono się. W ten sposob, bez antagonizmu stanu miejskiego, przy uporczywej rzymsko katolickiej dążności, skoncentrowała szlachta polska w sobie do tego stopnia wszelkie polityczne i religijne pierwszeństwo, że wreszcie tylko rzymsko katolicki szlachcic czuł się obywatelem, nazywał się Polakiem, a lud, a chłop, czyto rzymsko katolicki na Mazurach, czyto grecko katolicki na Rusi, jak do swego znaczenia politycznego, tak też do nazwy Polaka bynajmniej się nie poczuwał, i owszem w końcu, przy wdarciu się pomiędzy niego a szlachtę obcego nieprzyjaciela, na stronę łudzącego go zdradną opieką nieprzyjaciela chwilowo przeszedł, w Polaku wroga swego upatrzył. Ztąd, jak wszechwładna niegdyś szlachta za czasów swojej złotej wolności dwojaką, bo polityczną i religijną przewagą lud gniotła, tak też za czasów obcej niewoli powstał jej w tym gniecionym ludzie wróg dwojaki, w jednej połowie ludu wróg jako poddany, w drugiej, jako chłop i jako Rusin. Nieprzyjaźń pierwszej połowy ludu, rzymsko-katolickiego chłopa, tylko przez obcego nieprzyjaciela podsycona, nie była w sobie samej uorganizowaną. Przeciwnie nieprzyjaźń chłopa ruskiego, prócz podniety obcej, zewnętrznej, miała i ma w swojem upośledzonem dotychczas duchowieństwie, mocną organizacyę, która nawet całej sprawie ludu ruskiego pozor teoryczną, zasadniczej odrębności, pozor osobnej religijnej i narodowej kwestyi nadaje. Wszakże w rzeczy samej nie jest to wcale kwestyą odrębną, osobno narodową, a owszem, aczkolwiek z dodatkiem pewnej religijnej czy raczej obrządkowaj barwy, tylko drugą połową jednej ogólnej sprawy, sprawy ludu, i ten sam środek, który sprawę rzymskokatolickiego ludu poczęści już załatwił, załatwi też szczęśliwie tę sprawę ruską, zbawi nas strachu ruskiego.

Jakiż że jest ten środek? Oto wolność. Wolność materyalna, wolność od pańszczyzny, nadana wszystkiemu ludowi, i należna nadto ludowi ruskiemu wolność moralna, wolność wszechstronnego wyrażania swojej narodowości, rozwijania przyrodzonych sobie właściwości języka, form piśmiennych, oznaków, obyczajów i. t. d. A z prawdziwą wolnością idzie dłoń w dłoń równość braterska. Więc jak całemu, tak mianowicie ruskiemu ludowi należy się zarazem wszelka równość, równość nie tylko przed prawem i sądem, ale oraz we wszystkich stosunkach społeczeńskich, nie tylko we wszystkich stosunkach społeczeńnych ale oraz i w towarzystwie, nie tylko w zewnętrznych formach towarzyskich ale głównie w uczuciu braterstwa i miłości bratniej. Tylko taka wolność i równość załatwi szczęśliwie naszą waśń ruską, rozwiąże nieporozumienie, zagodzi nieprzyjaźń. Nastąpi to zaś głównie dwojaką wynikłością. N a j p r z ó d: przy zupełnej wolności wyrażania się wszelkich odcieni narodowości, wyświeci się w praktyce najdowodniej, który z tych odcieni zwycięzko próbę praktyczności przebędzie, istotnie potrzebnym się okaże. I tak np. jeźli Rusini koniecznie pisma kościelnego żądają, niech im służy ta wolność. Przyszłość dowiedzie czy kirylica w obecnym stanie oświaty jako codzienny środek komunikacyi umysłowej się utrzyma. Pragnęli Rusini wyższych *uczeliszcz* ruskich, dla czegożby im tego zaprzeczać miano? Przyszłość okaże, czy te *uczeliszcza* w praktyce pomyślniejszy od owych za cesarza Jozefa II po rusku wykładanych nauk filozoficzno telogicznych skutek osiągną? P o w t ó r e: przy usunięciu przez wolność powodow nieprzjaźni, oporu ze strony Rusinow upadnie także sama z siebie uroszczona sobie przez duchowieństwo ruskie niby systematyczna organizacya tego oporu, upadnie p o l i t y c z n y wpływ duchowieństwa, który zawsze przeciwnym był m o r a l n e m u sług bożych powołaniu, i którego zgubności cała Europa w przeciągu kilkuwiekowych dziejów krwawo na sobie doznała.

Tak, sama szczera wolność i równość zwiąże nam zgodą ręce i serca. Strachy, którem w nocy niewoli wzajemnie nas trwożono, za białego dnia swobody same z siebie w nic się rozwioną. Ktoby zaś w dobroczynne skutki jakiejkolwiek wolności śmiał powątpiewać, temu przytoczym nasze własne doświadczenie z wolnością druku. Gdyśmy się takowej przeciw tymczasowemu jej zawieszeniu u gubernatora dopominali, straszono nas mogącemi z niej wyniknąć okropnościami, mianowicie takiemże samem przedstawianiem grożących ztąd niebezpieczeństw ze strony Rusinów, jakoby na rzeź i krew naszą dyszących, jakiem

odwrotnem przedstawianiem niebezpieczeństw ze strony polskiej usiłują na pasku wieść Rusinow. Wszelako pomni naszego obowiązku, staliśmy przy naszem prawie, wymogliśmy wolność druku, a dzisiaj — gdzież są strachy, któremi nas trwożono.?

KRONIKA TYGODNIOWA.

Najważniejszą sprawą bieżącego tygodnia była sprawa ruska. Rozwijała się ona dotąd tym samym trybem, o jakim w powyższym artykule nadmieniliśmy. Ponieważ w adresie do tronu z d. 18. marca i 6. kwietnia wyraźnej, jak się Rusinom zdało, wzmianki o ich narodowości i żądaniach nie było — aczkolwiek słowa adresów domagające się zrownania wszystkich stanów i wyznań oczywiście i Rusinów obejmowały — przeto uznało duchowieństwo ruskie potrzebę uczynienia samodzielnego kroku w tej mierze, i zawiązawszy się pod przewodnictwem x. biskupa przemyślskiego Jachimowicza w tak zwaną „Radę ruską“ u św. Jerzego, ułożyło osobny adres do tronu, który prócz właściwych punktów petycyjnych, wynurzał we wstępie życzenie wieczystego związku z Austryą, protestując tem samem przeciw wyrażonej w naszym adresie z d. 6. kwietnia nadziei i chęci odzyskania kiedyś całej polskiej ojczyzny. Ten przez samych duchownych, to jest przez samych organizatorów dawnej z czasów niewoli pochodzącej nieprzyjaźni Rusi ku Polsce, ułożony i jak słychać bardzo małą liczbą podpisów stwierdzony adres miał być głosem całego ludu ruskiego; ale pomyślna zmiana dawnego stanu rzeczy, mianowicie jakakolwiek wszelkim narodowościom zapewniona wolność, nadała inny zwrot całej sprawie. Za czasów niewoli szła cała powszechność ruska za przewodem swoich duchownych organizatorów, nie bacząc na niebezpieczeństwo, wynikające z takowego oddania sprawy swojej w ręce nie — pewnej należytej, wszechstanowej reprezentacyi własnej, lecz w ręce jednego tylko stanu, stanu xiężkiego, któryby, jak to każdy wyłącznie gorujący stan w takim razie według świadectwa całej historyi zwykł czynić, gotów był pod pozorem pieczy o dobro pospolite popierać tylko swoje własne, prywatne, a niekiedy najzgubniejsze dla pospolitej sprawy zamysły. Wszakże błogi wpływ jakiejkolwiek obecnej wolności naszej dozwolił powszechności ruskiej pojąć to niebezpieczeństwo, a przy zabezpieczeniu swobodnego rozwijania się wszelkiej narodowości od wszelkich jej rzetelnych czy też mniemanych przeciwników, zarazem siłę dawnej ruskiej ku Polakom nieprzyjaźni zmniejszając, uczynił organizacyę tej nieprzyjaźni, to jest polityczną powagę duchowieństwa mniej potrzebną. Którato jedna i druga dobroczynna wynikłość wolności objawiła się w praktyce obojętnością ogółu Rusinów dla owego xiężkiego adresu święto-jurskiego. Lecz nie dość jeszcze na samej obojętności. Wolność nie tylko oświeca przeciwników, ale oraz porozumiewa ich, równa, brata ze sobą. Z powodu niedostateczności wyrażenia się adresów naszych wyłoniła się na jaw odrębna sprawa ruska, a Polacy uznali jej słuszność. Rusini ze swojej strony, jakkolwiek przy właściwych petycyjnych punktach adresu święto-jurskiego stojąc, oburzyli się na przesadny i odszczepieńczy od powszechnej sprawy narodu wstęp jego — a w braterską odpowiedź na to szlachetne oburzenie, wielu szlachty dawnego pochodzenia ruskiego, jak pp. J. Puzyna, L. Stecki, Szumlański, A. Golejewski, J. Dzieduszycki i inni, przystąpili otwarcie do sprawy ruskiej. Skutkiem tego nastąpiło u J. Puzyny kilka powszechnych zgromadzeń ruskich, mających istotną barwę zborów publicznych, bo złożonych nie z jednej tylko kasty kapłańskiej, lecz ze wszystkich stanów, jednością sprawy zbratanych. Na zgromadzeniach tych uchwalono za spółuczestnictwem dwóch członków „Rady ruskiej“ u św. Jerzego, pp. Wienkowskiego i Wyslobockiego przeciwny święto-jurskiemu podaniu adres, obstający za słusznemi domaganiami narodowości ruskiej, lecz w brew wszelkim zamachom rozszczepienia powszechnego od wieków Ruś z Polską jednoczącego węzła, głośno też powszechną jedność narodową zatwierdzający. We czwartek podpisywano ten adres publicznie w wielu miejscach. Spodziewamy się najpomyślniejszych skutków po tym pierwszym jawnym kroku braterstwa i rowności.

MODY.

Z Paryża, dnia 1 maja 1848.

Stroje damskie. W tym tygodniu pojawiły się różne najnowsze materye jedwabne, w kraty, w pasy, w jasnych odcieniach, płócienka które zupełnie połysk jedwabiu mają, muszlinki jedwabne, wreszcie tak zwane dreliszki na ranne wiejskie ubranie nadzwyczajnej trwałości. Gazy, barize, organtyny, żakonety najwięcej tego lata nosić będą — szlafroczki robią gładkie z ozdobami szmuklerskiemi, suknie jedwabne do paska, muszlinowe z marszczonemi stanikami, a spodnicę obszywają czterema szerokiemi lub wąziutkiemi falbanami. Narzutki są tego roku tak rozmaite, iż nie można żadnej pierwszeństwa dawać, dla tego zalecamy i krótkie i zaokrąglone z tyłu, i te co mają końce z przodu zaokrąglone, narzutki *à la Rachel* i narzutki *Fontanges* z szeroką i węższą trochę falbaną — wszystkie te narzutki są jedwabne lub z tiulu w kwiaty koronką obszywane. Płaszczyki muszlinowe niemniej teraz używane jak i szale krepowe lub z lekkiej materyi.

Rycina przedstawia: Strój panny młodej; suknia z trzema spodnicami, stanik gładki kończasty, wysoko zachodzący; rękawy długie, obcięte, spodnia suknia z włoskiej kitajki, welon tiulowy, przypięty wiankiem z róż.

Druga figura przedstawia, strój od wyjścia; suknia z gładką spodnicą, stanik równie gładki, wysoko zachodzący z trzema szwami na przodzie; rękawy obcisłe, zaokrąglone przy ręce, z pod których widać białą muszlinowę, w bufki układaną. Szal czarny korunkowy. Kapelusz słomkowy przezroczysty, wstążkami ubrany.

Redaktor odpowiedzialny JAN DOBRZAŃSKI. *Wydawca* TOMASZ KULCZYCKI.

DRUKIEM PIOTRA PILLERA.